

Pożyczony banknot

15 maja 2014

Uwielbiam podróże pociągami, a już zwłaszcza wczesną wiosną, kiedy cieszy każde spojrzenie przez okno. Drzewa pokrywają się świeżusienką zielenią, obiecując, że przytłumiony zimą świat już za chwilę będzie ciepły, pachnący, przyjazny. Tym razem cieszyłem się także tym, że jadę do jednego z naszych piękniejszych wielkich miast, w którym, choćbym miał pełne ręce roboty, wystarczy mi pobyt kilka godzin, żeby porządnie wypocząć. Kiedy na dworze zaczęło się już ściemniać, poszedłem na herbatę do wagonu restauracyjnego. Jedyne wolne miejsce znalazłem przy stoliku, przy którym elegancka pani w okularach poiła soczkiem niespełna trzyletnią dziewczynkę. Zapytałem, uśmiechnąłem się, przysiadłem, a że dziewczynka na to zaczęła przemawiać do mnie swoim zadziwiającym narzeczem, za chwilę zgadałem się i z panią, która okazała się jej babcią. I tak zaczęła się bardzo miła podróżna konwersacja i sympatyczna kolejowa znajomość. Jak to w takich sytuacjach bywa, opowiedzieliśmy sobie nawzajem sporo ciekawostek, nie przedstawiając się sobie nawet: ja dowiedziałem się, po co babcia z wnuczką jeździły do Warszawy, a ona, po co ja jadę do ich miasta. Póki co, wiedziałem tylko, że dziewczynka ma na imię Maja.

Dojechaliśmy, potem jeszcze przeszliśmy przez dworzec, rozmawiając, a ja – ponieważ wychodząc z domu, jak często, w ostatniej chwili, zapomniałem wziąć gotówki – po drodze podszedłem do wszystkich kolejnych bankomatów, z których każdy – co za pech – akurat nie działał. Trudno – pomyślałem na głos – kupię bilety na autobus, płacąc kartą. Rozmawiając, weszliśmy do dwóch dworcowych kiosków, ale – jak na złość – w każdym z nich można było płacić tylko gotówką. Zaniepokojony – do hotelu miałem naprawdę daleko – zapytałem uprzejmej współpasażerki o jakieś bankomaty w okolicy, ale ona machnęła ręką i uśmiechnęła się.

– Ależ po co ma pan szukać bankomatów – powiedziała. – Przystanek ma pan tuż przy wyjściu z dworca, kupię panu ten bilet. I drugi, żeby jutro mógł pan dojechać do centrum. Albo wie pan co? – dodała, widząc, że się waham. – Pożyczę panu dwadzieścia złotych, trochę gotówki więcej przyda się panu na wszelki wypadek. Pan ma jutro zajęcia tuż obok mojej pracy, wpadnie pan, odda. Proszę.

Podawała mi banknot. I jeszcze zgrabną wizytówkę, na którą tylko rzuciłem okiem i sam podobnej nie mając, przedstawiłem się z imienia i nazwiska. Podziękowałem, kupiłem bilety, a potem babcia i wnuczka (musiały jeszcze chwilę poczekać, aż odbierze je samochodem tata Mai) odprowadziły mnie do przystanku. Kiedy odjeżdżałem, spojrzałem jeszcze na nie. Moja współpasażerka wzięła wnuczkę na ręce, a Maja pomachała do mnie złożoną kolorową parasolką, która zza szyby autobusu wydała mi się bukietem kwiatów. Takie drobne wydarzenie – a takie krzepiące! Spotykają się zupełnie obcy ludzie, a nie rzucają się sobie od razu do gardła, nie przepychają się i nie warczą na siebie, za to cieszą się wspólnym, chociaż krótkim czasem, są dla siebie życzliwi i pomocni. Ufają sobie. Ludzie sobie ufają!

* * *

To spotkanie, rozmowa i miły gest współpasażerki napełniły mnie radością na cały następny ranek i wczesne popołudnie. Zajęcia, które prowadziłem, choć wymagające dużego skupienia i wysiłku umysłu, poszły mi jak z płatką – okazało się, że uczestniczyły w nich osoby bardzo zainteresowane tematem, było wiele pytań, które przerodziły się w otwartą dyskusję. Rozmawialiśmy w sali wykładowej, do której wkrótce zaczęli schodzić się słuchacze kolejnych zajęć. Kilka ciekawych osób zaprosiło mnie jednak do kawiarni na dokończenie rozmowy. Do miejsca pracy mojej znajomej z pociągu, mieszczącego się w efektownej kamienicy, starej, ale z czyściusieńką jasną fasadą, dotarłem tuż przed godziną piętnastą, uprzednio pobrawszy z bankomatu pieniądze, zakupiwszy ładną kopertę i kartkę, na której napisałem parę słów podziękowania. Tabliczka

zawieszona przy ciężkich drewnianych drzwiach wejściowych skierowała mnie na trzecie piętro, które, jak się okazało, całe zajmowane było przez poszukiwaną instytucję. Instytucję – dodajmy – zajmującą się doradztwem w jakiejś hermetycznej (w każdym razie dla mnie) biznesowej specjalności.

Przez recepcjonistkę zostałem powitany przemiłym pytającym spojrzeniem. Powiedziałem, do kogo przychodzę i w jakiej sprawie. Rozmówczyni uniesieniem brwi godnym Noli Rae, brytyjskiej mistrzyni pantomimy, wyraziła przeogromne zmartwienie, że „pani prezes wyszła dosłownie dziesięć minut temu i już dzisiaj nie wróci”.

Ja także zmartwiłem się trochę, jednak chcąc pocieszyć recepcjonistkę, uśmiechnąłem się i zaproponowałem, że zostawię u niej kopertę z liścikiem i banknotem, a ona odda ją jutro pani prezes. Recepcjonistka jednak stwierdziła, że lepiej będzie, jeśli zostawię kopertę „u pani Agnieszki”. Zadzwoiła do wzmiankowanej, aby mnie zapowiedzieć, po czym zostałem skierowany do pokoju znajdującego się pośrodku długiego korytarza. Podeszedłem, zapukałem, otworzyłem drzwi, zobaczyłem kilka stanowisk biurowych, przy których siedziały dwie kobiety i trzech mężczyzn. Jedna z pań, widocznie właśnie pani Agnieszka, wstała, dała mi ręką znak, podeszedłem, uprzejmie wskazała mi krzesło i jednocześnie usiedliśmy.

– Pan ma przesyłkę do pani prezes – raczej stwierdziła, niż zapytała.

– Właściwie nie, nie przesyłkę, po prostu chciałem jej oddać dwadzieścia złotych, jestem jej winien...

– Ach, więc pan jest prywatnym znajomym pani prezes?

– Nie, nie jestem, właściwie wcale się nie znamy, spotkaliśmy się w pociągu...

– W pociągu?

– W pociągu. Pani prezes pożyczyła mi dwadzieścia złotych, właśnie...

– Ale pani prezes nic mi nie mówiła.

– Rozumiem, oczywiście – kiwnąłem głową potakująco. – Ale ja od pani prezes nic nie chcę, zostawię tylko dwadzieścia złotych i list. Czy mogłaby pani oddać? I podziękować ode mnie?

– No ale właśnie mówię, że ja nic nie wiem. Pani prezes nie mówiła, czy to było dwadzieścia złotych, czy ile.

Ach, na moment odebrało mi mowę, zmniejszyłem się troszeczkę, a mój wzrok mimowolnie powędrował ku ziemi. Musiało to zrobić wrażenie na pani Agnieszce, bo zaraz odezwała się pojednawczo:

– Nie, ja nic nie mówię, tylko nie chciałabym, żeby potem pani prezes miała do mnie pretensje. Albo żeby coś pomyślała, rozumie pan?

Nie rozumiałem, ale na wszelki wypadek zaproponowałem, trochę jakby obcym głosem, że przecież mogę zostawić zaklejoną kopertę z banknotem w środku. Że zostawię też numer telefonu, aby można było w razie czego rozstrzygnąć wszelkie wątpliwości. Jakby na dowód szczerości swoich intencji położyłem na biurku pani Agnieszki i kopertę, i banknot, które po dłuższej milczącej chwili ujęła dłoń świadcząca niezbiecie o tym, że stylizacja paznokcia jest dziedziną sztuk pięknych, w której ojczyzna nasza wciąż stanowi prawdziwą światową potęgę, mimo że nasi jej mistrzowie porzucili już rozbuchany barok na rzecz harmonijnego klasycyzmu. Dłoń-arcydzieło uniosła kopertę na wysokość głowy (znakomicie świadczącej z kolei o rodzimych stylistach fryzur) i zamachała nią gestem subtelny a pełnym wyrazu, jakby dłoń romantycznej damy machała chusteczką na pożegnanie kochanka wywożonego na Sybir.

– Tomek, jak sądzisz? – pani Agnieszka zagadnęła siedzącego naprzeciw niej przystojnego kolegę. Ten uniósł wzrok utkwiony

dotąd w ekranie komputera, obrzucił przedmiot wątpliwości koleżanki wzrokiem zdradzającym profesjonalistę i znawcę, którego ekspertyzom ufać można bezgranicznie. Po czym wzruszył ramionami i orzekł:

– Ja wiem?...

I wrócił do powierzonych mu zadań, które z pewnością wykonuje rzetelnie.

– Ale zaczekaj – odezwała się znad najodleglejszego biurka pani w żakiecie koloru mleka z odrobiną kawy. – A skąd pani prezes będzie wiedziała, że to ty zakleiłaś kopertę? Że nie na przykład pan zostawił niezaklejoną, bo przecież zostawia się zwykle niezaklejoną, a ty coś tam tego, i nie zakleiłaś? Nawet nie, że pomyśli, że specjalnie coś tam, ale że pomyśli, że coś tam pomyliłaś czy coś?

Ów wywód zrobił wielkie wrażenie na pani Agnieszce, która bez słowa odłożyła kopertę i banknot i podsunęła je w moim kierunku.

– Ależ bardzo przepraszam – jęknąłem – ja chcę tylko oddać dwadzieścia złotych, nic więcej. Oddam i sobie pójdę...

– Niech pan przyjdzie jutro – koleżanka pani Agnieszki okazała się Salomonem. – Pani prezes już będzie.

– Dziś wieczorem wracam do Warszawy.

– To nie może pan zostać dzień dłużej?

– Kupiłem bilet, mam pracę, hotel drogi – poczułem się tak winny odrzucenia znakomitego rozwiązania, że wyrzuciłem z siebie litanię usprawiedliwień, którą zakończyłem szeptem: Przecież to nie jest nic wielkiego, ja chcę tylko zostawić dwadzieścia złotych.

– No tak, ale w razie czego, to pani prezes pomyśli, że to my tam coś. A pan sobie pojedzie!

– Boże! – szepnąłem i nie wiem, czy sprawił to wezwany, czy moja bezradna mina, ale pani Agnieszka kazała mi zaczekać, wyszła z pokoju i nie wracała dobre dziesięć minut, a każda z tych minut w mojej głowie rozciągała się w kwadrans. W końcu ukazała się w drzwiach.

– Pan dyrektor pana przyjmie – wskazała mi dłonią korytarz i odprowadziła do drzwi gabinetu. Zapukała i gestem zaprosiła mnie do wnętrza. Z fotela uniósł się lekko szpakowaty mężczyzna w okularach o oprawce tak cieniuteńkiej, jakby w ogóle jej nie było. I w garniturze dopasowanym i odprasowanym idealnie, jakby prasowano go na właściciela.

– Znam sprawę – rzekł zdecydowanie właściciel garnituru, podchodząc i podając mi rękę, której istotnym elementem był ostry jak żyletka mankiet błękitnej koszuli ujęty gustowną spinką. – I myślę, że powinniśmy się razem zastanowić nad jej rozwiązaniem.

– Oczywiście – odetchnąłem z ulgą. – Zostawię pieniądze i liścik u pana i gdyby pan mógł ode mnie podziękować...

– Sugerowałbym jednak odmienne postępowanie – pan dyrektor splótł palce na wysokości piersi.

– Odmienne?

– Jest przecież tyle możliwości, adres pan zna, nazwisko pani prezes, są przecież wyspecjalizowane instytucje, zarówno publiczne, jak i prywatne...

– Mam wysłać pieniądze pocztą?

– Ja nie mówię, co pan ma zrobić. Sugeruję jedynie rozważenie różnych możliwych opcji.

– Ale czy nie mógłby pan po prostu przekazać przy okazji pani prezes...

– Samodzielnie nie mogę podjąć takiej decyzji. Chciałbym tylko

zauważyć, że nasze biuro jest w zasadzie miejscem, w którym mogą przebywać wyłącznie osoby zatrudnione. Ewentualnie po uprzednim umówieniu.

– Czyli rozumiem, że nie mogę tu przebywać?

– Ja nie mówię, że pan nie może tu przebywać, ja przecież nic takiego nie powiedziałem. Ja tylko rozważam, czy pan może tu przebywać.

– Jak rozumiem, to znaczy, że mam stąd iść?

– Ja nie powiedziałem przecież ani razu, że pan ma stąd iść. Ja tylko się zastanawiam, czy pan nie powinien podjąć takiej decyzji.

Podjąłem zatem decyzję. Kiedy szybkim krokiem opuszczałem ulicę, przy której znajdowało się biuro, minął mnie samochód, w którym dostrzegłem moją współpasażerkę z pociągu. Odwróciłem się. Samochód zatrzymał się przy kamienicy, ona z niego wysiadła. W dłoni trzymała przedmiot, który w pierwszej chwili wziąłem za złożoną kolorową parasolkę, ale który po uważniejszym oglądzie okazał się nahajką. Weszła do bramy, a ja krokiem jeszcze szybszym poszedłem na dworzec. Pieniądze odesłałem pocztą.

Autor: Jarosław Górski

Źródło: [Nowy Obywatel](#)

O AUTORZE

Jarosław Górski (ur. 1970) – polonista, nauczyciel i dziennikarz. Napisał kilkaset artykułów publicystycznych i popularyzujących różne dziedziny sztuki, wydał książkę eseistyczną „Męska rzecz” (o literackich obrazach męskości) oraz powieść obyczajową „Wersje”. Mieszka w Warszawie. Stały współpracownik „Nowego Obywatela”.